

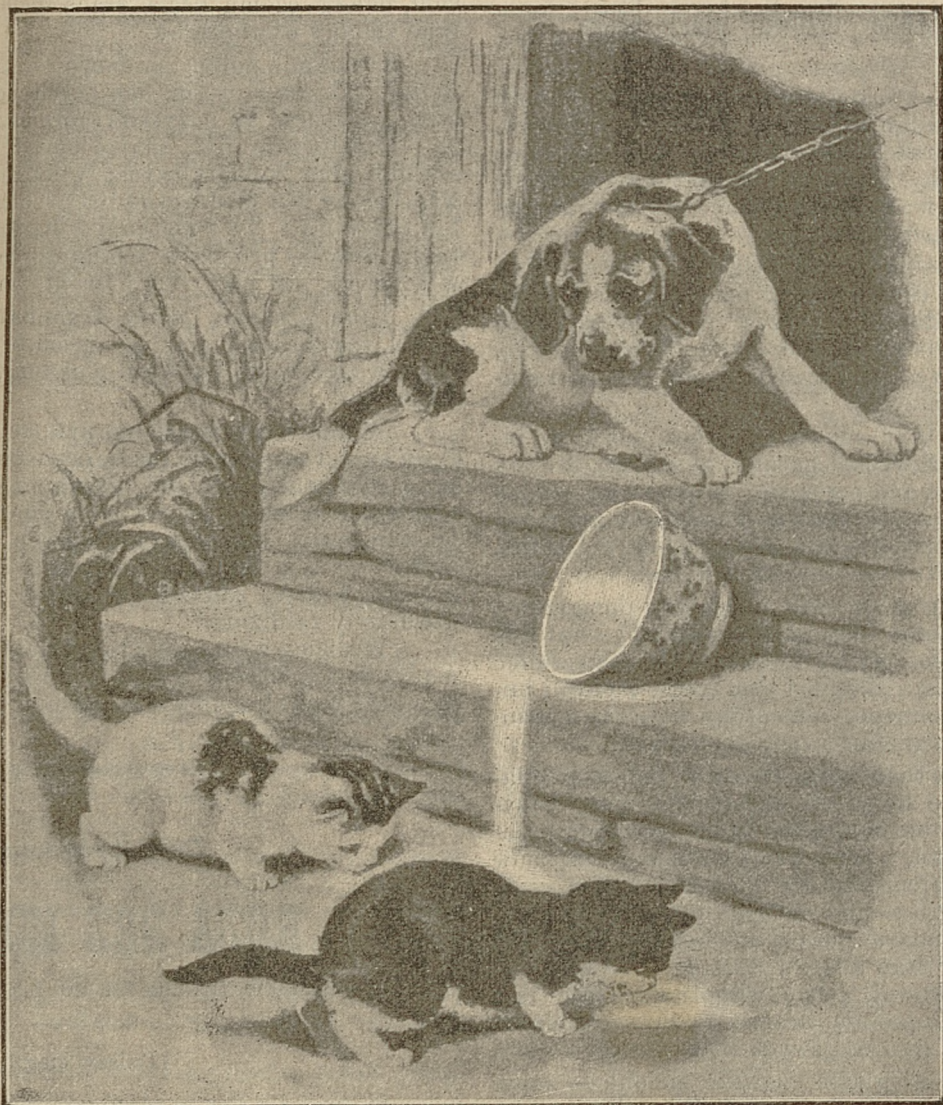
№ 48 Rok XXI.

Dnia 18 Listopada (1 Grudnia) 1900 r.



WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Dzieci i Młodzieży.



Brys na uwięzi.

Bryś na uwiesi.

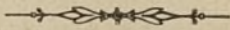
(B A J K A)

Że koty i kurczęta ścigał zbyt zajadle,
Wzięto Brysia na łańcuch, lecz pomnąc o jadle
Uraczono niebawem pełną miłą miską.
Bryś łacno się zabiera do miłej roboty,
Gdy nagle tuż, tuż, blisko,
Spostrzega koty!

Nie wytrzymał. Huż na nich! Ale łańcuch ściska.
Nie puszcza — a przy skoku wywraca się miska,
I nadomiar przykrości — koty, niecne wrogi,
Miał w nogi,
Siadły tak — że choć łapą sięgnąć — niedaleko,
I jęły własne jego wylizywać mleko.

Rozwaga — rzecz konieczna, Brysiu, luby zuchu,
A najbardziej dla tego, kto jest na łańcuchu.

J. B.



Dlaczego przed zimą drzewa tracą liście.

Jednym ze zjawisk, które najbardziej rzuca się w oczy późną jesienią, to opadanie liści z drzew i krzewów. Od zjawiska tego przybrał nazwę miesiąc listopad, więc słusznie zapytać możemy dlaczego i w jaki sposób to się dzieje? Postaramy się na to odpowiedzieć słowami znanego przyrodnika p. Edwarda Strümpfa.

„Są dwa typy roślin: jedne żyją tylko przez jedno lato, życie drugich trwa dłużej, nieraz dziesiątki i setki lat. Pierwsze zamierają całkowicie przed nadejściem zimy, udzielając życia swego nasionom, które nietylko zimę jedną, lecz częstokroć cały szereg lat przebyć mogą, nie tracąc zdolności wznowienia życia.

Rośliny drugiego typu muszą się zabezpieczać na zimę. Należą do nich przeważnie gatunki okazalsze, drzewa i krzewy. Rozumie się samo przez się, że pnie i gałęzie są dostatecznie zabezpieczone szczelnymi powłokami kory; pozostają tylko liście, te części roślin najbardziej delikatne, wiotkie, powiewne, w żadne okrycia nie otulone.

Gdyby tedy zostały na drzewie, musiałyby pomarznąć, a na wiosnę na organizmie drzewa otworzyłyby się tyle ran, ile liści na niem było. Byłby to naturalnie stan wielce groźny dla jego zdrowia. Zamiast korzystać z chwili buźnienia się życia powszechnego, musiałyby wówczas marnować swe siły żywotne na gojenie ran otrzymanych.

Niebezpieczeństwa tego unika drzewo, ponosząc ofiarę; mianowicie pozbawia się przed nadejściem zimy wszystkich liści, zrzuca z siebie te części, które nie mogą przetrwać surowej pory roku. I jak u nas na zimę, tak znów w innych strefach kuli ziemskiej drzewa zrzucają swą szatę zieloną na czas zbyt skwarne i suchego lata, kiedy z powodu braku wody i nadmiaru gorącą niemożliwe staje się życie i świat roślinny w stan letargu zapada. W tych zaś krainach strefy zwrotnikowej, gdzie wilgotność stale jest znaczna i wiecznie ciepło panuje, drzewa są zawsze zielone, na żadną porę roku nie zrzucają swych liści.

— A nasze drzewa iglaste, zawsze zielone — zapytacie — czyż wylamują się z pod prawa ogólnego?

Choć rosną one w krainach umiarkowanych a nawet zimnych, wszakże nie pozbawiają się na zimę swej szaty zielonej; ale szata ta składa się nie z delikatnych i cienko spleśzczonych liści, jeno z choć drobnych, lecz krzepkich wałeczkowatych igieł; już sama budowa taka czyni je odpor-

niejszymi na działanie wszelkiego rodzaju wpływów nieprzyjaznych; zdolność ta zwiększa się jeszcze znacznej grubości nabłonkiem, t. zw. kutykulą, która składa się z materii, nie przepuszczającej wody i stanowiącej zły przewodnik ciepła. Rzecz tedy oczywista, że powłoka z takiego materiału stanowi wyśmienity środek zabezpieczający. Dla tego też drzewa iglaste nie potrzebują zrzucić swych liści na zimę i swą wieczną zielenią bawią nawet oko mieszkańca dalekiej północy.

Dowiedzieliśmy się już, dlaczego spadają liście na zimę. Lecz to jedno nie wyczerpuje jeszcze sprawy. Mimo woli ciśnie nam się pytanie, dlaczego liście jesienią ztracają zwykłą swą zielenią, aby spadać na ziemię w barwie żółtej lub czerwonej.

Każdy organizm żyjący zbudowany jest z drobniej części komórek, zawierających w sobie tę substancję, która jest najpierwotniejszym siedliskiem życia (protoplastem). Z takich komórek zbudowane są też — rzecz oczywista — i liście.

Otóż przed nadejściem jesieni w komórkach liści rozpoczyna się szereg procesów chemicznych. Procesy owe zmierzają ku temu, aby zamienić znajdujące się w komórkach liści substancje pożywne i dla organizmu pożyteczne na takie, które z łatwością będą mogły odbyć wędrówkę z tkanki liścia przez jego ogonek do wnętrza ciała gałązki.

W ten sposób rozkłada się przedewszystkiem chlorofil, dzięki czemu liście tracą zieloną barwę i następują inne zmiany wewnętrzne.

Drzewo z godną podziwu i naśladowania zapobiegliwością zabiera z części, mających odpaść od niego, wszystko, co jeszcze ku pożytkowi organizmu całego służyć może. Ostatecznie liść, mając opaść, przedstawia martwy szkielet błon komórkowych; wewnątrz zaś samych komórek wypełnione jest cieczą wodnistą, zabarwioną na kolor żółty lub czerwony. Ta substancja barwna jest właśnie rezultatem owych procesów chemicznych, które odbywały się w komórce, jest jakby ich nieużytecznym odpadkiem.

I ten odpadek, który organizm roślinny odrzuca od siebie, zapełniając martwe komórki liści spadających, zachwyca nas swymi barwami pięknymi, nadającymi tyle uroku jesieni!

W końcu jeszcze jedno pytanie: w jaki sposób liść odrywa się od organizmu macierzystego, czy zostawia na nim ranę otwartą po sobie? Bynajmniej! oto jeszcze przed opadnięciem liścia tworzy się u podstawy jego ogonka luźna warstewka komórek korkowych, łatwo się rozrywających. W tem właśnie miejscu liść się później odrywa, a przygotowana zawczasu warstewka korkowa wnet otwór utworzony zabliznia.

Widzimy więc, jak Opatrzność Boska przez nadanie mądrych i podziwu godnych praw naturze zabezpiecza istnienie wszystkich stworów Swoich w całym wszechświecie.

Zofia Urbanowska.

ROŻA BEZ KOLCÓW.

Opowiadanie osnute na tle przyrody tatrzańskiej.

(Dalszy ciąg).

Na to odezwał się doktor:

— Mój dobry znajomy, pan A. Z., mówił mi, że nie zapomniał nigdy kazania księdza Stolarczyka o sędzie ostatecznym. Mówca przedstawiał słuchaczom, jak Anioł Gabriel zadał w trąbę. Na jego głos powstają zmarli z grobów, by stanąć przed trybunałem Najwyższego. I oto

otwierają się mogiły zakopańskiego cmentarza, i oto powstaje procesya nieboszczyków: Krzeptowskich, Sieczków, Gąsieniców, Walów, którzy z krzyżem i pieśnią ciągną w przestwory niebieskie. A po drodze spotyka ich druga procesya z Chochołowa, z Poronina, z Szaflar, z Czarnego Dunajca. Ojcowie witają dzieci, bracia siostry, żony mężów, przyjaciele przyjaciół — każdy trwożny, jaki go wyrok czeka, po której stronie postawi go Anioł Pański. I te procesye spotykają inne; pochód olbrzymieje, aż nareszcie sły-chać pieśń serafickich chórów i widać jasność wielką.

Było coś Dantejskiego w tym opisie ostatniej wędrowki, choć Danta nigdy nie czytał proboszcz zakopański. Posiadał on nadzwyczajną siłę obrazowania, co choć z wszelkiego kunsztu wyzuta, ciągnęła, przykuwała uwagę, a grozą tamowała oddech. Cóż dziwnego że tłum słuchaczy chylił głowy jak łan zboża przed wiatrem, i że kruszyły się serca nietylko prostacze.

— Pan A. Z. opisał to nawet później, zaraz po śmierci księdza Stolarczyka, w jednej z gazet — zaczął znów malarz — i nic nie przesadził. Ja także znałem księdza Stolarczyka; słyszałem różne jego mowy i jedną mowę pogrzebową. Zaczął od tego, że siedząc pewnego wieczora na ganku, usłyszał dolatujące go krzyki hulaków z karczmy i zapisał sobie ich nazwiska, a tam wysoko Święty Piotr zapisał także na drugą rękę. Wiem — mówił — że ci co tam byli, przyjdą do mnie i proszę będą, żeby ich wykreślić. Ale cóż, choć ja wykreślę, to Święty Piotr nie wykreśli. I zaczął przedstawiać pijaństwo w całej jego ohydzie. Myślałem że nieboszczyk był pijakiem, ale przeciwnie, był to człowiek trzeźwy, syn za to był pijakiem. I proboszcz jął go tak hańbić publicznie, tak gromić, i naprzemian roztkliwiać, że ogromne jak dąb chłopisko, upadło z rykiem na kolana, a nazajutrz wyprzysięgło się w kościele uroczyście wódki.

— Uczynom nie był — podjął doktor znowu: — odbył pielgrzymkę do Ziemi Świętej, i to stanowiło cały jego podkład literacko naukowy, ale miał znajomość psychologii góralskiej, siłę słowa i czynu, co połączone z głęboką wiarą i miłością ludu, stanowiło tajemnicę niezwykłych skutków jego działalności. Nic piękniejszego za Tatrami nie uznawał, i miał góralską duszę. Bójki z Liptakami gromił za rozlew krwi, groził karami piekielnymi, a swoją drogą, powtarzał z zadowoleniem: „A taki nasi chłopcy znowu Liptaków zmogły.”

Mrok coraz więcej zapadał; Warburton wodzący zadumanym wzrokiem po posepniejącej coraz więcej Pięciu stawów dolinie, dojrzał z daleka kilka drobnych światełek, i zapytał o ich znaczenie.

— To pasterze, co mają owce przy stawach, palą w szałasach — odrzekł Witold.

— Sąż oni tam bezpieczni od napaści dzikich zwierząt?

Doktor powtórzył przewodnikowi pytanie, a ten odrzekł:

— Czemu nie, bezpieczni: czasem tylko niedźwiedź kożę porwie, albo ryś zaczai się jak kot, zadusi kilka owiec, opije się krwi; porwie co może i umyka. Orzeł też lubi napadać jagnięta, jeśli głodny. Dawniej chadzały przy stawach wilki, ale dziś już ich niema.

Dawid, gdy o dzikich zwierzętach usłyszał, uczuł ciarki chodzące po skórze; Henrykowi też zrobiło się niemiło, ale uspokoiła go myśl, że zwierzęta unikają ognisk, a wiedział że górale mają zwyczaj podsycać ustawicznie ogień na noclegu.

Chłodno zaczęło się robić, ten i ów szczerzej otulił się pledem; Warburton zawołał o gorącą herbatę, a Jakób odezwał się:

— Szalasom pasterskim niegdyś groziło jedno poważne niebezpieczeństwo: zbójnicy odwiedzali ich koleby¹⁾ i wybierali tam daninę składającą się z serków i bryndzy. Zwykle gotowali barana w owczym mleku i raczyli się tym

przysmakiem wraz z bacą i juhasami. Bacowie nie bardzo krzywo patrzyli na podobnych gości, bo sami radzi zbijali — wreszcie co napađnięty baca dziś oddać był zmuszony, jutro mógł zdobyć w cudzym szałasie. Wzajemnie się przeto jeden drugiego strzegli, i trzeba było wielkiej zręczności i dowcipu, żeby podejść ostrożnego kolegę, uprawiającego te same talenta. Między innymi były epizody następujące: Baca w biały dzień przychodzi do sąsiedniego szałasu kraść owce i pozostawia w ukryciu swoich juhasów. Nie można zamiaru przemocą dokonać, bo w szałasie znajduje się baca z juhasami, nawet w liczbie przeważającej; potrzeba więc podejść przeciwnika, doskonale zgadującego cel tych odwiedzin. Przybyły zatem udaje najszczerzą życzliwość i powoli wciąga kolegę i jego juhasów do zabawy i tańca, a tymczasem na boku pozostawieni pomocnicy zabierają owce jedna po drugiej. Naraz rozbójnicy baca spostrzeżę, że jego juhas za mało się ku ziemi pochyla, że mu widać kapelus, który może plan całej wyprawy zdradzić. Nie przerywając tedy tańca, daje przestroge komu należy, improwizując dwuwiersz:

„Unizaj się, uwyszaj się, bo ci kłobuk widno;
Hrubszom chwostu, bakiesistom, uwijaj się śmiżno.

Co znaczy: schylaj się bo ci kapelus widać, wybieraj owcę grubszego ogona, bo taka tłustsza, okazała; uwijaj się żwawo.

Rabujący skorzystali z przestrogi, a rabowani nie domyślili się na razie znaczenia śpiewki. Baca nabawiwszy się u sąsiada, powrócił na swoją halę, gdzie już znalazł skradzione owce, gdy tymczasem okradzeni nie zaraz szkodę spostrzegli.

Malarz odezwał się:

— Zbijanie często było połączone z pewnego rodzaju dowcipem i humorem. Pewnego razu zbójnicy dowiedzieli się, że karczmarz posiadający piękne woły, wyjechał na kiermasz, pozostawiając żonę w domu. Przychodzą tedy w nocy, ale zamiast w prostacki sposób woły zabierać, przybywają z muzyką i karczmarkę wraz z jej służbą wyprowadzają w taniec. Podczas zabawy zbójnicy ostrzegają o niebezpieczeństwie jakie wołom zagraża, śpiewając:

„Tańczujże se tańczuj, karczmareczko tłusta;
Na jutro, na rano, komóreczka pusta.”

Rozbawiona kobieta nie miała czasu zastanowić się nad tą przestrogą, i dopiero nazajutrz rano brak wołów wyjaśnił znaczenie piosenki. Podczas zabawy, wspólnicy tańczących wyprowadzili woły, które sownie opłaciły kosztą hulanki.

— Już to z dowcipu słygną tatrzańscy górale — podjął znów Witold — jak również ze swobodnego umysłu. Chałubiński, który znał górali dobrze, zawsze podziwiał ten dowcip delikatny. Opowiadał on chętnie różne ich odezwania się i figle. Towarzystwo górali i rzeźwe powietrze wirchów, wybornie mu służyło. Często gdy był słaby i mizerny, szedł w góry na kilka dni i wracał zdrow, wyglądający tak świetnie, że go własna żona nie poznawała.

Warburton zadumał się na te wyrazy.

— To prawda — rzekł — powietrze tych gór jest przedziwne i posiada jakąś moc cudowną: ja sam odczuwam jego wpływ rzeźwiący na siebie. Przyjechałem tu niezupełnie zdrow i w każdym dniu czuję się innym, silniejszym.

Zapalił cygaro i gęstym kłębem dymu się osłonił.

Dr. Strand pozornie tylko słuchał tego wszystkiego, i co chwila w głębokie wpadał zamyślenie. A gdy świeże gałęzie smereczyny dorzucone na ogień jasnym, objęły się płomieniem, podszedł do ogniska i wyjąwszy mapę z kieszeni, rozłożył ją na gładkim szerokim kamieniu i zaczął się w niej uważnie rozpatrywać.

— Czego pan chcesz się tutaj doszukać? — zapytał go doktor.

— Hm, na mapie tej widzę oprócz Czarnego sta-

¹⁾ Szalas.

wu jeszcze cztery inne w tej dolinie. Są one tu oznaczone wyraźnie. W jednym tylko czyniłem dotąd poszukiwania, a kto wie, czy mój *Brachiopod* nie przebywa w którym z tych czterech!

— To są cztery niewielkie stawki: Dwoisty, Kurtkowiec, Suczy i Zielony, które turyści omijają, wiedząc, że nie ma tam nic godnego zwiedzenia. Chcąc iść do tych stawów, trzeba zaraz z hali Królowej udać się na zachód w stronę przełęczy Liliowej. Pański *Brachiopod* pewnie potrzebuje większej przestrzeni i przyzwoitej głębi.

— Hm, co do głębi, tak; co do przestrzeni, niekoniecznie — odrzekł Strand.



Cudowne dziecko. (str. 383.)

— Musielibyśmy się wracać na niepewne, kiedy droga wypada nam obok olbrzymich jezior w Dolinie Pięciu stawów, daleko większą dających rękojmię co do znalezienia *Brachiopoda*.

Strand stał jeszcze przez chwilę wahający się i niepewny, wreszcie złożył mapę i schował do kieszeni.

Już wszyscy udali się na spoczynek, a profesor jeszcze się krzątał i nad brzegiem stawu pochylony, coś robił.

— A chodźże pan spać — wołał na niego Warburton — co za dziwnie niespokojny duch mieszka w panu! Co tam robisz jeszcze u licha! Czy chcesz dokopać się znowu przedpotopowego cmentarzyska?

— Zaraz, zaraz, sir Edwardzie, tylko muszę wprzód urządzić wygodne kwatery dla mojej armii.

— O jakiej armii pan mówisz?

— Czyż pan zapomniałeś, że wyprawie naszej towarzyszy piętnaście tysięcy wojska?

— Ach, pleń, zapomniałem o nim zupełnie; nawet nazwa tych osobliwych muszek wyszła mi z pamięci.

— *Sciara militaris* — powiedział Strand tonem wykazującym pewne zgorzsenie w obec tego zapomnienia.

Nakładł gąsieniczkom świeżej próchnicowej ziemi, wydobytej ze szczelin między kamieniami, nasypał furazę z cetynek, ułożył je w miejscu wilgotnem, przykrył gałązką kosodrzewiny, a ukończywszy zadanie kwatermistrza, położył się w namiocie Warburtona i wkrótce zasnął; a śniło mu się, że zrobił znakomite odkrycie, przypatrując się gąsieniczkom przez szkło powiększające. „Wszystkie *sciara militaris*” przedzierzgnęły się w żołnierzy, miały kapelusze stosowane i karabiny, i stanąwszy przed nim frontem jednocześnie salutowały.

Ale rano przyniósł mu inne, całkiem niespodziewane odkrycie. Warburton i jego towarzysze obudziwszy się nie znaleźli profesora, który swoim zwyczajem znowu się gdzieś zapodział. Walter przypuszczał, że poszedł naprzód, inni temu przeczyli, ponieważ jego torba podróżna i kij alpejski, leżały w namiocie. Warburton poszedł go szukać i znalazł siedzącego nad stawem, przy głazie gdzie były kwatery jego armii, tak zgnębionego, iż spojrzawszy nań, odgadł że spotkała go jakaś katastrofa. Włosy jego były w nieładzie, okulary zsunięte z czoła, ręce załamane.

— Co się stało u Boga, panie Strand — zawołał zaniepokojony wyrazem boleści, malującej się na twarzy uczonego.

— Pogrom, straszliwy pogrom! śmierć piętnastotysięcznej armii — jęknął z boleścią — katastrofa okropna!

— Gdzie, to? — zapytał, oglądając się dokoła i nie widząc nic niepokojącego.

Doktor, który tuż za sir Edwardem stał, spojrzawszy na Stranda. Przyszła mu myśl, że poczciwemu profesorowi pomięszały się zmysły.

On też mówił dalej głosem żalonym.

— Wszyscy żołnierze polegli na stanowisku, karne i posłuszne w imię poczucia obowiązku. Powodem tego pogromu i winowajcą jestem ja. Ach, uśmiercić piętnaście tysięcy żywych istot, to okropność! Patrzcie panowie.

I wskazał ręką na ziemię.

Zwróciwszy oczy za kierunkiem ręki profesora, zobaczyli teraz dopiero na kupie cetynek „węza morskiego,” który wczoraj tak wszystkich przestraszył, zwiniętego w kłęb ale nieruchomego. I gdy pochyliwszy się, przypatrywali się ciekawie, usiłując odgadnąć powód tej nieruchomości, profesor mówił dalej:

— Chciałem zbadać, jak pleń zachowuje się w niewoli, i dla tego wczoraj zabrałem go z sobą. Podróż do Czarnego stawu, odbył dobrze bo miał poddostatkiem cetynek i próchnicy; zaledwie kilkanaście gąsieniczek wypadło. Wieczorem ułożyłem go w miejscu najwygodniejszym, spokojnym, że przy powolnym ruchu, daleko nie zajdzie, chociażby nawet nocą w pochód ruszył. Ale gąsieniczki zaraz po wydobyciu z koszyka utworzyły plenia; ciekawy byłem co też uczynią, jeżeliby oba końce węza połączyły się i kijem złączyłem je z sobą.

(d. c. n.)

12 list Janka Ż. do Redakcji Wieczorów.

(Dalszy ciąg)

5 sierpnia południe.

Dziś więc mam zobaczyć marszałka Roberta, mam mu przedstawić moją prośbę. Modliłem się do Boga o natchnienie, a teraz piszę; myśl o was, koleddy, doda mi odwagi. W stanowczej chwili życia chciałoby się biedz do



Kuchnie ruchoma. (str. 384).

kochanych poradę, ja jestem zupełnie sam. Mungo wyjechał ze swoim pułkownikiem do Pretoryi, a pani Burns jest jakaś bardzo zakłopotana, musi mieć nowe zmartwienie, które ukrywa nawet przede mną. Widziałem, że schodziła ze światłem do piwnicy, a kiedy chciałem ją wyręczyć, zniecierpliwiła się i spojrzała na mnie przykro. Czy ma jaką tajemnicę, czy mi nie dowierza? Ktoś wieczorem wymykał się z naszego domu, ostrzegłem ją o tem, ale nie odpowiedziała ani słowa i była niezadowolona. Bardzo mi to przykro, bo przecież miałem słusność, donosząc jej, że obcy ludzie nachodzą willę.

Trudno wprawdzie okraść dom, w którym panuje prawdziwa nędza, ale któż zgadnie, co zły człowiek miał na myśli? Może chciał wziąć moje ubranie, bo muszę pochwalić się wam, koledzy, że za pieniądze zarobione w redakcji sprawiłem sobie trochę bielizny i palto, służy mi ono i jako kołdra w czasie zimnych nocy sierpniowych. Chciałbym jeszcze kupić zegarek; wielka to niewygoda, gdy się nie wie godziny, zwłaszcza mając obowiązek regularnego uczęszczania do redakcji. Oti teraz obliczyłem ile czasu zostaje mi do czwartej, bo o czwartej mam być w kwatery generała. Nasłuchuję wieżowego zegara, ale dawno już nie zauważyłem, którą wydzwaniam godzinę, może jest już późno...

5 sierpnia wieczór. W hotelu pod Gwiazdą.

Probuję uporządkować doznane wrażenia. A było ich dziś tyle! Najsilniejsze ze wszystkich to myśl, że od mojej prośby, od mego zachowania się zależeć może powodzenie całej sprawy. Bo nuż rozgniewam generała jakim nieostrożnym słowem i nie zechce zwrócić uwagi na los sieroty. Pierwszy raz w życiu miałem rozmawiać z wielkim człowiekiem, bo marszałek Roberts bądź co bądź zasługuje na to miano, tyle ludzi żyje tylko aby jeść i pić, a on strawił swoje życie, służąc krajowi.

Na kilka minut przed czwartą byłem w przedpokoju generała, wpuszczono mnie do sali, gdzie czekało już dużo osób, one także miały przyobiecane posłuchanie. Trzymałem w ręku prośby, miałem i ja przygotowaną notatkę przygód mego ojca i moich. Siadłem na małej wyplatanej kanapie i badałem twarze przybyłych osób.

— Czego one żądać będą? — myślałem — czy marszałek znajdzie cierpliwość, aby wysłuchać tylu próśb?

Zegar wiszący na ścianie wskazywał upływające minuty, w pokoju panowała uroczysta cisza, tykotanie wahał się odbija się zapewne we wszystkich mózgach, tak jak słyszałem je w moim. Potem wybiła czwarta, potem otworzyły się drzwi i do sali weszło dwóch adjutantów, a za nimi marszałek. Błada jego twarz miała wyraz łagodny, zdawał się

rozumieć, że czekają go tu wszyscy z niepokojem. Niepokój ustąpił w obec dobroci starego wodza, nie było w jego mocy zadość uczynić wszystkim żądaniom, ale robił co mógł, aby ulżyć doli nieszczęśliwych.

Już tylko dwie osoby oddzielały marszałka ode mnie, bo najmłodszy, dziecko prawie, stałem nieśmiało za drugim. Spojrzał, potarł czoło, jak by spędzając z niego uparte wspomnienia i skinie niem ręki przywołał mnie do siebie.

— Za kim prosisz? — spytał łagodnym głosem.

— Za ojcem — odpowiedziałem, tłumiąc z trudnością łzy.

Drgnął, jak gdyby dotknęły go moje słowa, wyciągnął rękę po papier, który trzymałem w ręku i szepnął coś do adjutanta, ale nie oddał mu mojej prośby, jak robił to z innymi, zachował ją, słuchając skarg pozostałych w sali osób. Stałem, nie wiedząc co myśleć, pokój opróżniał się powoli z biedaków, przybyłych na audyencyę. Generał zniknął za drzwiami, a ja jeszcze nie ruszałem się z miejsca. Nagle dotknął ktoś mego ramienia.

— Choć za mną, marszałek chce sam rozpatrzyć twoją sprawę — powiedział adjutant. Brzęknął ostrogami, nacisnął klamkę przyległego gabinetu i cofnął się od progu. Wszedłem do pokoju wysłanego dywanem, jedyny to zbyt kowniejszy sprzęt w salonie wodza, inne nosiły cechę prostoty żołnierskiej. Zatrzymałem się na progu, byłem sam, ale nie miałem czasu zdać sobie sprawy z tego, co się stało, bo w tej samej chwili wyszedł marszałek z za kotary osłaniającej alkowę i skinąwszy mi głową, zasiadł przed biurkiem.

— Jesteś cudzoziemcem, Polakiem? — zapytał patrząc na notatkę podaną mu przeze mnie w audyencyonalnej sali.

— Tak — odpowiedziałem nieśmiało.

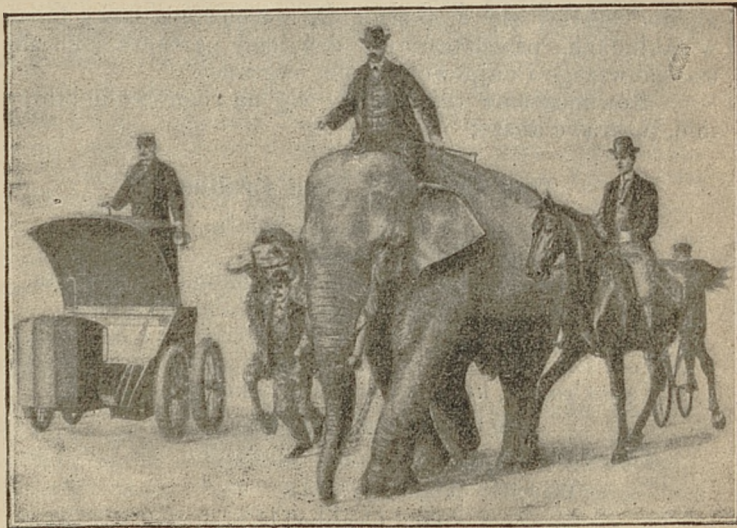
— Ojciec twój 2-ego lutego był w obozie generała Bullera pod Bloysfarm nad Tugelą?

— Tak.

— Czy ojciec twój ma więcej dzieci?

— Nie, jestem jedynakiem. Ojciec dlatego nie wrócił do Polski, żeby klimatem Transwaalu ratować mnie od suchoty, na którą umarła moja matka — powiedziałem jednym tchem, ale kiedy podniosłem oczy na marszałka, zobaczyłem, że nie słucha moich słów. Stał zapatrzony w śliczny portret młodego chłopca, wiszący nad biurkiem.

— Jesteś jedynakiem i chciałbyś wrócić do ojca — powiedział, a głos mu drżał. Byłem tak wzruszony, że upadłem przed nim na kolana.



Osobliwy wyścig. (str. 384).

— Ach panie! wskaż mi, gdzie mam szukać mego ojca, pójdę choćby na koniec świata, pójdę bosi i głodny, jak przyszedłem tu do Johannesburga, byłem go ujrzeć, byłem mógł ucałować jego ręce.

Szlochałem a Roberts milczał i patrzył wciąż na portret chłopca.

Nagle przypomniałem sobie to, co opowiadano w mieście o marszałku. On także miał syna jedynaka i syn ten zginął. Odtąd pełni obowiązki swe sumiennie, jak na żołnierza przystało, ale życie jego jest złamane. Czyż mogłem się temu dziwić? toż wiem, jak tatko mnie kocha, nic nigdy nie pocieszyłoby go po mojej stracie.

— Wysłę telegram do pułkownika Wodworsta — powiedział marszałek, spojrzawszy w papiery leżące na biurku — on drugiego lutego konsystował w Bloys-farm, powinien wiedzieć, co się stało z twoim ojcem. Za kilka dni otrzymam raport, zostaw swój adres u oficera służbowego.

(d. c. n.)

TESTAMENT DZIWAKA,

POWIEŚĆ

JULIUSZA VERNE'A,

przekład M. D.

(Dalszy ciąg).

Tak jest bezwątpienia, nigdzie większego nie mógłby wzbudzić uznania dla rzadkich przymiotów olbrzyma, jak w tym tłumie, w którym siła bierze z konieczności przewagę nad inteligencją. Zresztą i w klasie zamożnej, wśród gentlemanów, nie brak w Ameryce amatorów boksowania umiających należycie ocenić uderzenia pięści, któreby według wymaganych form sztuki wybijały oczy, lub miażdżyły nosy i szczęki...

Z przyjemnością też zauważył Milner, że ogromny plac Market przeznaczony na różne wystawy, właśnie jest wolny zupełnie. Nie grozi zatem przykra konieczność aby sztandar indygo zmuszony był pochylić się, jak na Spring-Grove w Cincinnati, przed majestatem niezwykle opasłego kłapoucha.

Tutaj już pewno nie przejdzie niepostrzeżony, bo oto miejscowe gazety pospieszyły w szumnych, krzykliwych artykułach ogłosić przybycie jego do stolicy, a zmyślni agenci zabrali się z energią do werbowania nowych sum w zakładach, przedstawiając drugiego partnera jako najszczęśliwszego i najpewniejszego wygranego.

Równocześnie też ukazały się na rogach ulic olbrzymie, jaskrawe afisze:

Tom Crabbe!! Tom Crabbe!!

Niezwyciężony siłacz Nowego świata.

Ulubieniec gry Hypperbona.

Tom Crabbe, który pokonał Fitzsimonsa i Corbetta.

Tom Crabbe, który prześcignął Réala, Kymbala.

Titburego, Helenę Nałęczównę, Urricana i X. K. Z.

Tom Crabbe, który stoi na czele wszystkich partnerów.

Tom Crabbe, któremu brakuje tylko 16 punktów

do wygrania wielkiej party.

Tom Crabbe przybywa do Philadelphii.

Wiwat! Niech żyje

Tom Crabbe!!

Milner promieniał z zadowolenia. Ale wraz przeciw tym reklamom dla drugiego partnera pojawiły się afisze in-

nych partyi, z których każda wychwalała swego protegowanego. Najwięcej jednak zwrócił uwagę olbrzymi papier który półłokciowymi literami głosił następujące wyzwanie:

Cavanagh przeciw Crabbowi!!

Któż to był ten Cavanagh? Oh, w Philadelphii znana to i ceniona osobistość boksera. I Milnerowi nie jest on obcy. Kiedyś w walce pokonany przez Crabba, próżno żądał dotychczas odwetu. Teraz odzywa się publicznie, a odezwaniem tem wywołuje ruch niezwykle wśród publiczności stolicy.

Tworzą się dwa obozy: jedni trzymają za Crabbem, drudzy za Cavanaghem; liczba ostatnich naturalnie przeważa. Milner sądzi, że nie należy mu odrzucać teraz wyzwania. Zwycięstwa swego pupila nad przeciwnikiem jest aż nadto pewny, zwycięstwo zaś w takiej chwili nabiera wielkiej dla niego wagi; a gdyby nawet siłaczowi strzaskano szczękę lub wybito oko, albo i tak nie będzie go mógł dowieść jego opiekun tam, gdzie mu gra wyznaczy?

Zgodnie z tem rozumowaniem przedsiębiorcy, już nazajutrz nowe kolosalne afisze zapowiedziały walkę Crabba z Cavanaghem.

Tłumy robocze przyjęły tę wiadomość z nadzwyczajnym zadowoleniem, niemniej jednak dały się słyszeć w mieście przeciwnie temu głosy:

— Jakto, więc Crabbe przyjmował walkę?... Crabbe stojący na czele „siedmiu” narażał swe stanowisko w odwiecie bokserkim?... Czyż zapomniał, jak poważną jest gra, której jest partnerem, zapomniał, że cała Ameryka ma ku niemu zwrócone oczy, że najbogatsi jej obywatele stawili olbrzymie sumy na niego!...

Lecz Milner lekceważył sobie ten sąd i czyni już przygotowania do występu. Zachodzi wszakże okoliczność, której się najmniej spodziewał. Oto ponieważ nawet w Ameryce publiczne walki bokserów są zabronione, otrzymuje policyjny rozkaz, aby pod karą więzienia i pieniężnej opłaty, nie ważył się urządzić przedstawienia. To go wstrzymuje chwilowo, gdyż pominąwszy już, że więzienie w Ameryce nie należy bynajmniej do przyjemnych miejsc pobytu, cóż pocznie, jeśli nie będzie mógł stawić drugiego partnera po odbiór depeszy?

— A gdyby tak urządzić rzecz w tajemnicy, poza murami miasta — myśli, nie chcąc się zgodzić na ustąpienie przed siłą prawa, i zadowolony z pomysłu zaciera ręce, choć czuje, że będzie to zawsze krok ryzykowny.

Porozumienie obu stron następuje prędko — zależy bowiem na pośpiechu. Szczupłe tylko grono szczególnych znawców sztuki bokserkiej zostało zaproszonych na świadków i sędziów do małego miasteczka Arondale, o dwie godziny drogi od Philadelphii, gdzie w wynajętej sali odbyć się miała walka.

Znawcy zabrali z sobą fotografów i kinematografów, aby zachować dla potomności każdy ruch tak ważnej próby sił dwóch sławnych siłaczy.

Crabbe wyższy wzrostem od przeciwnika, machał rękoma, jak żelaznemi maczugami, Cavanagh obok równie niezwyklej siły, zdradzał nieco większą giętkość ruchów.

Z niebywałem zajęciem przypatrywali się obecni już trzydziestemu obrotowi, czyli zwarciu się przeciwników, dając ich słowami zachęty i podziwu — gdy nagle wkracza do sali szeryf miasteczka, Wincenty Bruck, w towarzystwie duchownego, przełożonego sekty metodystów, sławetnego Henghla Huntera. Panowie ci, zawiadomieni przez kogoś niedyskretnego, pospieszyli na pole walki, aby zakończyć rzecz tak niemoralną i poniżającą.

Nikogo nie zadziwi, że niezbyt uprzejmie zostali tacy nieproszeni goście przyjęci. Oni jednak nie zrazili się tem wcale, a gdy nikt nie chciał słuchać ani ich grózb ani napomnień, użyli pięści na poparcie swej powagi. Utorowawszy sobie w ten sposób przejście przez salę, rzucili się ku dwóm bokserom, i rozpoczęła się jedna z najciekawszych, najoryginalniejszych scen, jakie kiedy widzieć można było.

Tu siła olbrzymich słońi, tam giętkość i zwinność małp lub dzikich kotów. Pięści bokserów uderzały w próżnię, nie natrafiwszy ani razu napastników, którzy tak umieli się uwijać, tak zręcznie użyli swych paznokci i kulaków, że wkrótce Crabbe miał jedno oko zupełnie wydrapane, drugie krwią nabiegłe i zapuchnięte, że został chwilowo oślepiiony; niemniej też poturbowany przedstawiał się jego przeciwnik.

I rzecz nie do uwierzenia; ci sami, którzy przybyli podziwiać walkę dwóch siłaczy, teraz obsypywali oklaskami niepowołanych ich zwycięzców.

Wściekły ze złości Milner, sam z wybitym zębem i opuchniętą twarzą, wrócił poprzedzając z Crabbem do hotelu, gdzie zamknięty starał się ukryć doznany wstyd i upokorzenie, czekając telegramu Tornbrocka.

Dwieście dolarów dziennie.

— Więc co tam zrobią z owym nędznym Inglisem? — zapytała pani Titbury swego małżonka, gdy ten powrócił z policyi.

— On się nawet nie nazywa podobno Inglisem, tylko Bill Arrolem — odpowiedział pan Herman, siadając z ciężkiem westchnieniem.

— Ale go przecie aresztowali?

— Gdzież tam, dopiero obiecują to zrobić...

— Kiedy?...

— Kiedy będą mogli.

— A nasze pieniądze?... nasze trzy tysiące dolarów?...

— Te mamy już uważać za stracone.

— Jakto! I to się nazywa sprawiedliwością! — krzyknęła pani Katarzyna, odczuwając na nowo całą boleść straty. Prędko jednak zdołała się przemódz, i gdy mąż jej jęknął, po dłuższej chwili milczenia:

— I co teraz pocniemy?...

— Poczekamy — rzekła już głosem pewnym.

— Na co poczekamy? Czy aż ten niegodziwy Arrol...?

— Ot, pleciesz! Poczekamy na telegram Tornbrocka — a potem zadecydujemy...

— Ależ nie mamy obecnie ani grosza przy sobie.

— Na to jest rada: zażądamy przysłania potrzebnej sumy z banku w Chicago; czas mamy dosyć, choćbyśmy mieli przejechać całe Stany Zjednoczone.

— Co jest bardzo możebne. Teraz wszystko sprzy sięgło się na nas...

— Wszystko to tylko drobnostka wobec tamtych milionów... Ale chodźmy do telegrafu, dwunasta się zbliża.

Przechodząc ulicami Great Salt Lake-City, małżonkowie byli przedmiotem ogólnej ciekawości. Wiadomość bowiem o ich zajściu z Bill Arrolem już się rozeszła po mieście. Ten i ów złośliwy podążył za nimi do biura telegrafu jedynie, aby ubawić się niefortunnym wyglądem i strapioną miną „miłego ostatniego,” jak ktoś nazwał skąpca, który jak wszędzie tak i tu nie cieszył się sympatją.

Lecz posłyszane dowcipy i szyderstwa Titburowie nie brali do serca, najważniejszą dla nich teraz rzeczą wyrok gry, i tego oczekują z niepokojem.

Niestety, otrzymany telegram, przyniósł wieść jaknajgorszą. Wprawdzie punktów było pięć, które dodane do czterech poprzednich, dawały przedziałkę dziewięć, to znaczy Stan Illinois — zatem prawo podwojenia, czyli przedziałka czternasta — znowu Illinois, a więc po raz drugi zdwojone pięć przedstawiało razem punktów dziewiętnaście. I tu właśnie całe nieszczęście, bo liczbą tą zaznaczył zmarły dziwak Stan Luizjany z miastem Nowy Orlean, a wiadomą jest rzeczą, że tam znajduje się nieszczęsny „Hotel.”

Blizcy rozpaczy, z myślami w nieładzie jak po uderzeniu obuchem, wrócili Titburowie do swej stancyi.

— Luizjana... Nowy Orlean... Hotel!... — lamentował pan Herman. — Oh, pocóż lecieliśmy dotychczas niby zalemi!...

— I pojedziemy jeszcze — odparła pani Katarzyna z wielką pewnością w głosie.

— Co? co gadasz?

— Mówię, że pojedziemy do Luizjany.

— Oszalałaś chyba! Toż to droga co najmniej tysiąca trzystu mil! — zastanów się kobieto, czy to podobna?

— Mniejsza o to ile tam mil, przejeździemy je zawsze.

— Ależ w hotelu trzeba opłacić karę, cały tysiąc dolarów...

— Zapłacimy, gdy trzeba.

— I czterdzieści dni musielibyśmy tam czekać, nie grając nawet wcale.

— To poczekamy.

— Przecie wiesz, że nie mamy pieniędzy!

— Zaraz każemy przysłać ile potrzeba.

— Ja nie chcę!...

— Ale ja chcę!...

Jak widzimy, pani Katarzyna znalazła odpowiedź na wszystko i na wszystko zdecydowaną była, jak ów nieszczęśliwy gracz, który zapala się w hazardzie tem silniej, im więcej przegrywa.

Wobec tak stanowczego zdania wszelki opór byłby próżny; uznał to pan Herman i zamilkł potulnie, chociaż z prerażeniem patrzył na tę równie kosztowną, jak daleką podróż, a co najgorsze, przymusowy, długi pobyt w Nowym Orleanie, mieście znanem z drożyzny.

— Zresztą — rzekła pani Katarzyna — alboż to już nieodwoalnie mamy tam przesiedzieć tak długo? Może przecież który z partnerów zostanie tymczasem również tam wysłany, a w takim razie my pójdziemy na jego poprzednie miejsce.

Tak jest, mogłoby to nastąpić, gdyby trzeci partner choć trochę miał szczęścia. Ale czy je będzie miał, to tajemnica przyszłości.

— Jeszcze na domiar złego — skarżył się dalej zafukany małżonek — nie wolno nam zamieszkać, gdzieby się nam podobało; telegram wyraźnie przeznaczają nam jakiś hotel Excelsior, a któż wie co to za hotel, może jaki wspaśniały i drogi...

— Jakim będzie, do takiego zajędziemy, i basta — rzekła z mocą energiczna niewiasta, chociaż kto pojmie, jakie tortury znosiła sama na myśl o utraconych już pieniądzach i tych, które jeszcze wydać będzie zmuszoną.

Jakkolwiek nie było rzeczywistej przyczyny do pośpiechu, gdyż całych czterdzieści dni miał teraz czwarty partner do swego następnego rzutu kości, ale nadzieja wybawienia się z przykłej pozycji przez przybycie do Nowego Orleanu innego partnera, wpłynęła na wyjazd Titburów z Great Salt-Lake-City już 5-go czerwca, czyli zaraz po otrzymaniu telegraficznej przesyłki pięciu tysięcy dolarów, zażądanych z National Bank w Chicago, z którym, jako kapitalista, zostawał lichwiarz w stosunkach pieniężnych.

Małżonkowie opuścili gród Mormonów nie żegnani przez nikogo i niestety nawet bez obiecanego im przez sędziego amuletu, który miał stanowić, jak sobie przypominamy, kawałek sznura od egzekucyi opryszka Bill Arrola. A szkoda, bo trochę szczęścia przydałoby im się bardzo.

Podróż swą obecną rozpoczęli koleją żelazną przez Stan Wyoming do Cheyenne, a stamtąd przez Nebraskę do miasta Omahy, gdzie dla oszczędności przesiedli na parowiec na rzece Missouri, a minąwszy znane nam już z podróży Réala Kansas, dosięgnęli Saint-Louis, które niebawem miało powitać Helenę Nałęczównę.

Tu zachodziła konieczność przeniesienia się na wody Missisipi, po której o wiele liczniejsze niż na jej dopływie kursują statki. Właśnie parowiec Black Warrior odbić miał od brzegu, więc szybko zakupili bilety trzeciej klasy i zaopatrzyli na nowo torbę podróżną w zapasy żywności. Mniejsza o niewygody i mniej zdrowe pożywienie — oszczędność przedewszystkiem!...

Missisipi w długości swej czterech tysięcy pięćdziesięciu mil, stanowiąc naturalną granicę między Stanami:

Illinois i Missouri, Arkansas i Tennessee, Alaama i Texas, jest rzeką tak piękną z licznymi swemi dopływami, że zarówno podróżni jak uczeni poświęcali jej od najdawniejszych czasów szczególną uwagę. Różne też nadawano jej nazwy i w niej to właśnie odnajdujemy ową Maschacebe, którą tak poetycznie przedstawił Chateaubriand.

Minąwszy granicę Illinois, znalazł się parowiec Black Warrior w otoczeniu wapiennych gór Ozark, ale już od Cairo rozkładają się szerokie płaszczyzny przez które Ohio spieszy złączyć się z Ojcem wód, jak nazywają Missisipi niektóre plemiona indyjskie. Mimo wszakże tak poważnego zasilku i mniejszych następnych, koryto rzeki węższe jest u ujścia do zatoki Meksykańskiej, aniżeli pod Saint Louis, a to z przyczyny, że woda przekracza tu bardzo niskie brzegi, tworząc oddzielne smugi i odnogi. Więc też całe to pobrzeże, którego poziom obniżył się jeszcze znacznie w czasie trzęsienia ziemi w 1812 roku, przedstawia krajinę moczarów i bagien, zarosłych trzciną i sitowiem. Nie łatwą jest też tam żegluga wśród piaszczystych wysepek, które tworzą się i znikają w krótkim przeciągu czasu, nanoszone lub zabierane rwącym prądem wody.

W dół rzeki za Memfis, w którym podziwiano przez parę godzin Crabba w czasie pierwszej jego podróży, i jeszcze niżej za dopływem Arkansas, gdzie w powstałych trzęsawiskach zniknęła naraz wioska Napoleon, wreszcie zostawiając na boku Wicksburg leżące nad samą rzeką, dopóki ta kapryśnica nie zmieniła swego koryta, zatrzymał się parowiec na krótko w Natchez, ważnym punkcie żeglugi po Missisipi, które odtąd aż do ujścia kręci się i wije niby olbrzymi wąż w tysiącnych splotach.

(d. c. n.)

ZE ŚWIATA.

Kuchnie ruchome (z ryc.) — Cudowne dziecko (z ryc.) — Osobliwe wyścigi (z ryc.) — Wybór prezydenta w Ameryce.

Któż nie wie z doświadczenia własnego, jak praca i ruch na świeżem, chłodnem zwłaszcza powietrzu, wzbudza apetyt do jedzenia a najbardziej do ciepłej zupy, którą rozpoczynamy zawsze obiad. Nic w tem dziwnego, bo ciepła strawa najlepiej ogrzewa i pokrzepia zmęczony i oziębiony organizm. Tymczasem w tak wielkiem mieście, jak Warszawa, jest wiele, bardzo wiele robotników i rzemieślników, pracujących dzień cały na słońce i chłodzie i nie mogących wracać do odległych swych mieszkań na łyżkę ciepłej strawy. Jest wiele takich, którzy wprost nie mają za co rozniecić ognia w dzień i muszą zadawalniać się kawałkiem chleba i zimną jaką przekąską, o ile i na to im starczy środków. Otóż ta liczna część ludności naszego miasta ma obecnie zapewnioną codzienną za bardzo umiarkowaną cenę litr, czyli dwa talerze ciepłej zupy. Stało się to dzięki kuchniom ruchomym, urządzonym przez ks. Chełmickiego i p. Karola Rostego.

Codzień w godzinach przedpołudniowych, rozjeżdża po ulicach kilka żółtych wozów. Siedzący na koźle chłopak w białym fartuchu donośnem trąbieniem daje znak przybycia. Wóz staje i drugi kucharz rozlewa żądającym za 5 kop. cały litr gorącej, mięsnej zupy. Zupy bywają codzienną inną: grochówka, kapuśniak, barszcz, krupnik i t. d. w piątki bywa zupa postna. Przygotowują ją w wielkiej kuchni na Pradze i wlewają do kotłów na wozach; kotły te są zabezpieczone specjalną masą izolacyjną, która przez 12 godzin nie pozwala zupie wystygnać.

Powodzenie, jakim się cieszą kuchnie ruchome, świadczy najlepiej o ich potrzebie, a z dumą powiedzieć możemy, że pierwsza Warszawa zaprowadziła je u siebie na większą skalę. Uroczyste poświęcenie i otwarcie kuchni nastąpiło d. 25 listopada.

Nowe „cudowne dziecko” zwraca obecnie powszechną uwagę w Paryżu. Pepito Ariola liczy zaledwie lat trzy i pięć miesięcy a jest już nietylko pianistą lecz i kompozytorem. Przed rokiem mniej więcej, a zatem mając półtrzecia roku, Pepito wdrapał się pewnego dnia na taboret przed fortepianem i nie umiając naturalnie czytać nut, zaczął wygrywać ustępy z sonaty Beethowena, którą matka jego przed chwilą skończyła. Odtąd fortepian stał się ulubioną rozrywką malca, który stopniowo zaczął nawet komponować. Zresztą jest dzieckiem inteligentnem, ale bynajmniej nad wiek nie rozwiniętem. Czy wyrośnie z niego taki artysta, jak Mozart lub nasz Szopen, trudno obecnie przewidzieć.

W jednym z parków w New-Yorku urządzono tego lata osobliwe wyścigi. Do „startu” stanęli: jeździec, cyklista, samochód, słoń i wielbłąd. Pierwszym przybiegł do mety poczywy słoń, ale współzawodnicy twierdzili, że zwyciężył ich nietyle swą szybkością, ile ogromem, gdyż z powodu dość wąskiej drogi, trudno było go wynijać, bo każde zetknięcie się z tym maleńkim współzawodnikiem, groziło im upadkiem, a słoń kłusował sobie bez ceremonii samym środkiem, nie bacząc na to, co się dokoła niego działo.

W Stanach Zjednoczonych Ameryki północnej, władza wykonawcza i przedstawicielstwo państwa spoczywa w rękach prezydenta, którego wybierają wszyscy pełnoletni obywatele. Władza jego trwa przez lat cztery od 4 go marca do 4-go marca, a wybór następuje w dniu 4-m listopada, poprzedzającego rok w którym się kończy czterolecie. W tym roku na przeciąg czasu od 4 marca 1901 r. do 4 go marca 1905 r. wybrany został ponownie obecny prezydent Mac-Kinley, zwyciężając drugiego kandydata Bryana.

Do dzisiejszego N-ru dołącza się prospekt Wieczorów Rodziny na rok 1901.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie z odnośnieniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

W Austrii rocznie zlr. 6. — W Prusach: rocznie mar. 12.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: Bryś na uwięzi, wiersz przez I. B. (z ryc.) — Dla czego przed zimą drzewa tracą liście? — Róża bez kolców, opowiadanie osnute na tle przyrody tatrzańskiej, przez Zofię Urbanowską. — Dwunasty list Janka Ż. do Redakcyi Wieczorów. — Testament dziwaka, powieść Juliusza Verne'a, przekład M. D. — Ze świata (z ryc.): Cudowne dziecko, Kuchnie ruchome, Osobliwy wyścig. — Rozwiązanie. Dodatek: Pieszczoszek, wiersz przez Helenę Bojarską. — Dzienniczek Wandzi. — List do aniołka, komedyjka w jednym akcie przez Z. Potworowską. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Mały książkę, powieść z życia żaków, według I. J. Kraszewskiego, przez Zofię Mrozowicką.

Redaktorka Ludwika Hauke. Дозволено Ценаурою. Варшава 13 Ноября 1900 г. Wydawczyni Marya z Chomętowskich Balińska.

W drukarni Noskowskiego, Warecka Nr. 15.

Pieszczoszek.

Henio jeszcze się nie uczy,
 Bo na to za mały,
 Ma czas, może się też bawić
 Chociażby dzień cały.
 A przeróżne ma zabawki,
 Zwierzęta, żołnierzy...
 Lecz tatusia gdy zobaczy,
 Wnet do niego bieży.
 Chciałby się z nim bawić, pieścić,
 Tuli się, przymila...
 Przy tatusiu tak przyjemnie,
 Najmilsza to chwila!
 I tatuś też kocha synka,
 Na ręce go bierze,
 I do swego serca tuli,
 I całuje szczerze.
 Henio dobrym jest chłopczykiem'
 Posłusznym aż miło!
 Więc też tatuś myśli o tem,
 By mu dobrze było!

Helena Bojarska.



Dzienniczek Wańdzi.

(Dalszy ciąg).

Colombo d. 24/5 1900 r.

Ach! czemuż nie jestem Sienkiewiczem, aby móc opisać te cuda, które widziałam w Colombo na Ceylonie. O 12-ej w południe zobaczyliśmy ziemię, drzewa, domy, coraz wyraźniej, co raz lepiej, jak gdyby rosły w oczach, aż wreszcie dopłynęliśmy do portu bardzo ożywionego.

Kilka dużych statków rozmaitej narodowości, mnóstwo małych łódek pirogami zwanych, długich a wąziutkich, na dwóch tylko pasażerów a trzech wioślarzy, a więc

na pięć osób, ale siedzących jedne za drugą. Wioślarze czarni, ale zupełnie inny typ jak tamtych, którzy byli w Afryce. Twarze bardzo sympatyczne, inteligentne. Mężczyźni często z wąsami i brodą. Starcy ślicznie wyglądali, bo przy czarnej ich twarzy, dziwnie odbijają siwe wąsy, broda i włosy. Mężczyźni tak samo jak kobiety pięknie zbudowani, bardzo wysocy i silni. Ale już najwięcej zachwyliła mnie zieloność, bo takiej jeszcze nie widziałam w życiu mojem.

Palmy pokryte kwiatami żółtymi, czerwonymi, niebieskimi i białymi, a wszystkiego pełno. Zaledwie mogłam doczekać chwili zejścia do łódki. Rodzice chcieli jeszcze czekać godzinę, ze względu na upał, ale ja nie chciałam o zwłoce słyszeć i tak prosiłam, aż dali się namówić i zaraz wysiedliśmy. Agent Anglik, co przyszedł na pokład, dał nam niektóre objaśnienia.

Miejsce, gdzie łódki dopływają i wysiada się na ląd, wspaniale urządzone, jest to rodzaj pomostu o piętrze. Wsiadamy na dole i po schodach idziemy na górę do ogromnej sali pełnej ławek. Tu ojczulek zmienił pieniądze, franki na *roupis*, jeden *roupis* ma 100 *sensów*, a wart 1 fr. 50 c.—i dalej w miasto. Myślałam, że mi oczy wyjdą na wierzch, tak pilnie i ciekawie przypatrywałam się wszystkiemu. Ulica, w którą weszliśmy, szeroka była bardzo, domy—nowe, ładne, ale nie wysokie. Policyanci Anglicy, i tych mamusia wypytywała, gdzie co można kupić — są także i między nimi czarni. Po francusku prawie zupełnie nie można się rozmówić — po angielsku mówią wszyscy mniej lub więcej dobrze.

Schwycił nas czarny przewodnik, bosi ale czysto, biało ubrany i prowadził. Mijamy domy z ogródkami, pełnymi cieniu i wonnych kwiatów. Domy prawie wszystkie parterowe z dużymi werendami w około, są to prywatne domy i wille. Stajemy przed pocztą, ogromnym gmachem, bardzo eleganckim, tak zewnątrz, jak i wewnątrz. Tam kupiłam kilka kart i wysłałam do Antolka, Stacha, do Zygmunia do Gniezna i do Cherburga; bo wszystkie te dzieci zbierają karty, a Zygmunt nawet w osobnym liście prosił mnie o przysłanie mu kart z podróży.

Tutaj pierwszy raz zobaczyłam małe powoziki co się *pousse-pousse* nazywają, a które ciągnie jeden człowiek zamiast konia, ale ten człowiek biegnie równie szybko jak koń. Wsiadliśmy do jednokonnej dorożki, czarny woźnica obiecał nam wszystko pokazać za 6 *roupis*. Ale tatuś przyzwyczajony do tego, że na wschodzie strasznie zdzierają, potargował się i dorożkarz spuszcza na 3 *roupis*, więc siadamy. Uprosiłam rodziców i usiadłam obok woźnicy na koźle, z którego mogłam wszystko lepiej widzieć niż z powozu.

Udaliśmy się do eleganckiej części miasta, minawszy wprzód małe, białe chaty, gdzie mieszkają Indianie i sprzedają owoce: ananasy, banany, mango, zielone pomarańcze, kokosy i różne inne dobre rzeczy. Ojczulek wysiadł z powozu i przyniósł nam masę tych doskonałości. Poczęstowałam mego czarnego sąsiada, za co uśmiechał się do mnie dobrotliwie, głaskał mnie po ramieniu i jadł z wielkim apetytem, pewno mu się bardzo pić chciało.

Przejechaliśmy przez Wiktoryja park i zatrzymaliśmy się przed muzeum, gdzie znajdują się rozmaite rzeczy z wysp okolicznych. Dla mnie to nie było nic ciekawego. Mnie najwięcej bawili czarni, których tam mnóstwo spotkałam, ubrani ślicznie, bogato, w rozmaitego koloru płachtach jedwabnych i białych muślinowych. Kolczyki mieli w uszach i bardzo kosztowne naszyjniki. Indianki mają jeszcze kolczyki w nosie i pierścionki na nogach.

To muzeum stoi w środku pięknie utrzymanego ogrodu i na tle tej cudownej zieleni czarni w kolorowych płachtach przechadzają się z dumą i powagą.

Trudno oczu oderwać od tego widoku. Mój dzienniczku najdroższy, ty tam leżąc sobie w kuferku przez ten czas, ani pojęcia mieć nie możesz, co ja za cuda oglądałam. Ale jestem dla ciebie dobrą, widzisz—wszystko ci za to opowiem. Powracamy do naszej jednokonki i pojedziemy w pole zarosłe cynamonem. Zapach nadzwyczajny. Mój poczciwy Indyanin urwał mi całą gałąź, prócz tego innych jeszcze kwiatów, kremowych, żółtych i białych, ślicznie pachnących. Trzymałam trochę tych kwiatów w rękę, a resztę dałam rodzicom do powozu. Położyli na przednim siedzeniu i tak jechaliśmy umajeni wśród kwiatów, jakbyśmy powracali z jakiej majówki. Staliśmy przed kamienicą, wzniesioną tuż nad brzegiem morza. Jakie wyborne lody tam jadłam! prosiłam rodziców i pozwolili mi zanieść ich memu czarnemu przyjacielowi z kozła.

(d. c. n.)

LIST DO ANIOŁKA

KOMEDYJKA W JEDNYM AKCIE

przez

Z. Potworowską.

OSOBY:

Mama, Staś, Zosia, Tadzio, Helunia (*rodzeństwo*).
Władzio (*biedny chłopczyk*).

(Scena przedstawia dziecienny pokój. W głębi dwie szafy. Do prawo stół. Na lewo sofka. Troje drzwi, okno. Przy podniesieniu kurtyny na scenie niema nikogo, po chwili dzieci wracające ze spaceru, wpadają z hałasem).

SCENA 1-a.

Staś. Brrrr... a to zimno. (*tupie nóżkami*).

Tadzio. Najlepiej to tak robić — tak rozgrzewają się wszyscy dorożkarze. (*macha rękami*).

Zosia. Chyba ze 100 stopni mrozu dzisiaj.

Helunia. Żeby w grudniu było tak zimno! Takie zimy, to jeszcze chyba nie było.

Staś. Ej, co wy tam wiecie... 100 stopni. Żeby tak duża panna plotła takie banialuki. Dzisiaj niema nawet 5 stopni mrozu, wiecie o tem?

Helunia. O, co to, to nie!

Tadzio. Łatwo się przekonać! (*biegnie do okna, staje na krzeselku i patrzy na wiszący termometr*). Trzy stopni niżej zera.

Zosia. Tylko? a tak zimno.

Tadzio. Bo wiatr wieje.

Zosia. Stasiu, zakomenderuj, będziemy skakali, ty się odrobinę rozgrzejesz.

Staś. Stańcie w szeregu (*dzieci stają przy sobie*). Przeważajcie nogą do góry... raz, dwa, raz, dwa, raz dwa... (*skaczą*).

Zosia. Oj dosyć, już mi gorąco! (*siada na krzesle*).

Helunia. Teraz trzeba się rozebrać, rzeczy pochować a potem, — wiecie co będzie potem?

Zosia. A co takiego? (*dzieci się rozbierają, nie przerywając rozmowy*).

Staś. Pewno coś bardzo mądrego.

Helunia. Ty myślisz, że tylko twoje myśli są mądre.

Staś. Co ja myślę, tego ty wiedzieć nie możesz, bo w mojej głowie nie siedzisz.

Helunia. Bogu dzięki! bo w takiej ciasnej głowie to z pewnością bym się udusiła.

Zosia. O już... co wy macie za przyjemność wiecznie się z sobą sprzeczać?

Staś. O, bo z Helunią toby i święty nie wytrzymał!

Helunia. Ja nie zaczynałam.

Staś. O, tyś zawsze niewinna, jak baranek.

Helunia. A daj mi święty spokój.

Staś. Ja jestem starszy.

Zosia (*kładąc Stasiowi rękę na ustach*). Pst... pst... no cicho już, cicho.

Tadzio. Rzeczy już pochowane, a teraz co będziemy robili?

Helunia. Za tydzień gwiazdka — a list do aniołka.

Tadzio. Ach prawda! ja wszystko przygotuję (*dzieci przysuwają krzesła do stołu, otwierają szufladę, wyjmują papier*).

Staś. Ja napiszę. (*siada*).

Helunia. Czemu ty? (*wszystkie dzieci siadają*).

Zosia. Ależ Heluniu, dla czegoż on nie ma pisać?

Helunia. A bo on zawsze musi być najpierwszy.

Staś. E, nie zawsze, do podwieczorku to ty zawsze najpierwsza pędzisz, a po ciastka, też najpierwsza wyciągasz rękę.

Helunia (*wstaje z hałasem*). Nieprawda... ty zawsze, zawsze się sprzeciwiasz, ja napiszę do aniołka, żeby... żeby nic ci nie przyniósł.

Staś. A ja napiszę, żeby ci przyniósł w darze... wiesz co? różgę!

Helunia. Na ciebie!

Zosia. Już dzisiaj chyba do aniołka nie będziemy pisali, bo on przecież nie przyjmie listu od kłócącego się rodzeństwa.

Tadzio. Ma się rozumieć, że nie przyjmie.

Zosia. O, pogodźcie się, pocałujcie i zasiadajmy do pisania.

Staś (*wstaje*). Kto się lubi, ten się czubi, prawda Heluniu?

Helunia (*podając mu rękę*). Pocałuj.

Staś (*całuje i mówi z ukłonem*). Ach, pani!

Helunia (*z głębokim dygiem*). Ach, panie!

Zosia. Teraz siadajcie i piszmy (*Helunia i Stas siadają*).

Zosia i Helunia (*razem*). Ja chcę gospodarstwa. Ja lalki!

Tadzio. Dla mnie koń na biegunach i scyzoryk.

Staś. Wieża Babel! ależ nie wszyscy razem — po kolei. Trzeba najprzód wstęp napisać.

„Kochany aniołku.”

Helunia. Lepiej: najdroższy!

Staś (*rzuca pióro*). No, to pisz sama.

Zosia. Ależ Stasiu, nie gniewaj się. Przecież każdemu wolno zdanie wypowiedzieć.

Tadzio. Ja powiem początek (*wstaje*). My niżej podani prosimy ciebie o... o...

Zosia (*przerywa*). O rozum.

Helunia. Nie przeszkadzaj.

Staś. Lepiej tak: Kochany aniołku! Ponieważ nie-długo Boże Narodzenie, więc udajemy się do ciebie z prośbą, byś pamiętał o nas, gdy pierwsza gwiazdka oznajmi ludziom o narodzeniu maleńkiego Dzieciątka Jezus.

Tadzio. Dobrze... dobrze... napisz zaraz, żeby nie zapomnieć. (*Staś pisze*).

Zosia. A dalej tak: My zaś obiecujemy całem sercem, że będziemy dobrzy, posłuszni i sprzeczać się z sobą nie będziemy nigdy.

Staś (*do Heluni*). I sprzeczać się z sobą nie będziemy nigdy.

Helunia. Nigdy! daj rękę na znak zgody. (*wstają i na przodzie sceny uroczyście podają sobie ręce*).

Staś. Zgoda!

Helunia. Zgoda!

Staś. Teraz kończmy rozpoczęte dzieło. (*siada*).

Helunia (*siadając*). Ja teraz podyktuję dalej: „Ty tylko, aniołku, pomóż i opieką swoją ochraniaj nas zawsze.”

Tadzio. Mnie się zdaje, że wstępu dosyć, teraz należy obrobić treść główną. A więc tak: (*wstaje i mówi dobitnie*). Kochany aniołku, żebyś nie zmęczył się wyborem podarunków dla nas, posyłamy ci spis przedmiotów, które chcielibyśmy dostać na gwiazdkę.

(*d. c. n.*)

SZARADA.

od Maryli dla Wysokiej.

Wiadomem jest, że co nam nazwie pierwsze, trzecie,
To zjawia się na twarzy najobficiej w świecie, —

Że zaś nie zdobi nikogo,

Każdy je przyjmuje wrogo.

Znowu drugie wraz z trzeciem u zwierząt bywają,

Choć rozmaita wielkość i pozory mają:

Cienkie, długie, okazałe,

Szorstkie, gładkie i znów małe.

Wszystko złoży potrawę dobrze u nas znaną,

I na różne sposoby smacznie przyprawianą.

ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

od Nuli dla Katota.

Z następujących sylab: a—a—ba—be—hu—gu—he—dor—
dus—dys—el—in—in—joth—la—lot—ma—na—nau—njo—o—
rei—ron—se—ton—te—ron — ułożyć dziesięć wyrazów, których
początkowe i końcowe litery złożą nazwiska dwóch sławnych oper
ze średniowiecznych podań niemieckich, złączonych spójnikiem i.

Znaczenie wyrazów: 1) Patriarcha. 2) Staro-grecki poemat.
3) Jezioro w Ameryce. 4) Jezioro w gub. Astrachańskiej. 5) Syn
Izmaela. 6) Kraj w środkowej Ameryce. 7) Wysępka na jeziorze
Badeńskim. 8) Rzeka w Indjach Zachodnich. 9) Postać mitolo-
giczna wyobrażająca wielką boleść. 10) Ptak z rządu grzebiących.

KWADRAT MAGICZNY.

ulożył Mały Raczek.

o	o	o	Miejsce wyścigów.
o	t	t	Zaimek wskazujący.
r	r	k	Miara czasu.

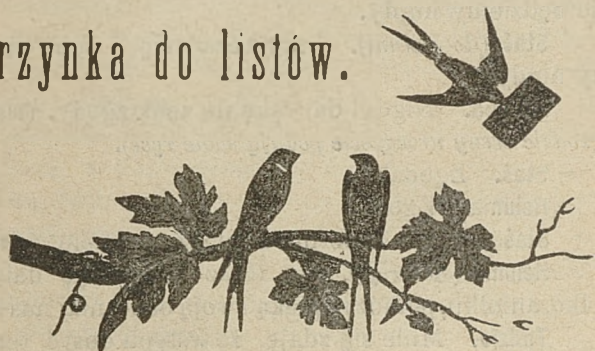
ROZWIĄZANIA DO N-ru 46.

Zagadki: Wól — łów.

Lamigłótki w kwadracie:

H e n r y k
P e r s y a
M a l a g a
T a l e r z
K o r o n a
R o s s y a

Skrzynka do listów.



Stałemu Prenumeratorowi. Zdanie wprawdzie składa się z dość długich wyrazów, ale ilość sylab nie większa od wyróżnionych w sprawozdaniu. Książkę wysyłamy. Ofiara na Wieżę Jasnogórską będzie ogłoszona,

Pani L. Wysyłamy Wieczory od Nr. 41 pod nowym adresem. Należy się nam 14 kop. Dla Jani pozdrowienia.

Dobre rozwiązania zadań przysłali: Mały Raczek, Rzymianin i Grek, Stefan Liedt., M. Ambroziewicz, Gustawa Dobr., Necia, Czarnowłosa Halinka, Biały Gołąbek, Józik B., Złota Myśl, Mały Raczek i Mały Ptasek.

Stokrotce z za gór. I ja zachwycam się górami, lecz równiny lubię, bom się wśród nich wychowała i mieszkam. Najbardziej jednak zachwyca mnie zawsze morze. Odczytując twój list, spędziłam miłą chwilę, więc jej za straconą nie uważam, a ponieważ mam nadzieję, że jeszcze nie raz do mnie napiszesz, zawczasu się cieszę, że wiele jeszcze takich chwil mnie czeka. Nie zapominaj tylko w przyszłości podawać rozwiązania zadań, które sama układasz, bo inaczej nie będą zamieszczane. Poślam ci żądane numera dodatków.

Kropelce rosy z Drysy. Pseudonym dobrze wybrany, a że zapragnęłaś zaliczyć się do moich licznych i kochanych korespondentek, bardzo ci wdzięczną jestem i z odpowiedzią spieszę. Nie dziwię się, że powieści, które wymieniłaś, czytasz z wielkim zajęciem, Redakcja stara się o to, aby powieści były nie tylko wartościowe, lecz i zajmujące, a nadto treści rozmaitej, gdyż i upodobania naszych czytelników bywają różne. Choroba twej siostry jest zupełnie uleczalna i najczęściej rozwija się na tle nerwowem; znałam parę osób, które dłuższy czas były nią dotknięte, a dziś zupełnie zdrowe, trzeba się jednak leczyć u odpowiednich lekarzy. Co zaś do Janka Ż. w paru słowach mogę cię objaśnić, że ojciec jego był urzędnikiem banku francuskiego w Johannesburgu, podczas gdy wybuchła wojna, którą nam Jank od początku opisują. Książkę wysłaliśmy.

Bardzo się ucieszyłam, że nagroda za wypracowanie przyznana Amelce Hacıs. tak się jej podobała, choć jest treści podnioslejszej i poważniejszej. Pochwalam, że zajmujesz się wymową twej siostrzyczki, gdyż tej wady nigdy zaniedbywać nie trzeba. W Warszawie poprawianiem złej wymowy zajmuje się głównie dr. Oltuszewski, który w tym przedmiocie wydał parę książeczek; ja mogę dać ci tylko tę radę, aby przy wymawianiu trudnych dźwięków jak: sz, cz, siostrzyczka twoja starała się w taki sposób otwierać usta i ustawiać język, jak ty, która te dźwięki dobrze wymawiasz. Niemiecką nazwę materiału, o który zapytujesz, napisałaś tak niewyraźnie, że wyczytać jej nie mogę, najlepiej

więc zrobisz, przysyłając małą próbkę, a wtedy z łatwością powiem się, jaka jego polska nazwa.

W tych dniach dowiedziałam się o pewnej małej Basii, która ma siedm lat, uczy się dobrze i chętnie, lecz sama czytać nie lubi i prosi, aby jej głośno czytano powiastki z Wieczorów. Ejże Basiu kochana, po cóż się czytać nauczyłaś, chyba po to, aby samej mózdz odczytywać ciekawe i zajmujące rzeczy, a nie po to, żeby słuchać tylko, jak inni czytają. Przewyciężyć trzeba lenistwo, a gdy raz jeden i drugi, choć niechętnie, sama coś przeczytasz, poznasz prędko, jak to miło nie potrzebować niczyj pomocy. Napisz wtedy do Jaskółki, a bardzo ją tem ucieszysz.

Gustawie Dobr. Zmartwiłam się wiadomością, że odra była powodem twego długiego milczenia, a teraz rzecz naturalna, że chcąc powetować czas stracony, masz dużo zajęcia. Nie puszczę cię nawet o długie listy, za kartki wdzięczną już jestem i życzę, byś jak najprędzej dopędziła w naukach swe koleżanki. Przyślij dokładny swój adres, to wyślemy ci zaginione numera.

Kryni z nad Słuczy. Kartki z widokami Ojcowa dostać można na pewno u Winiarskiego — Nowy Świat 53 lub u Chodowieckiego Plac Teatralny.

Poetycznym zwrotem, kochana Neciu, list twój zaczynałaś, więc i ja ci odpowiem, że nie żałuję lata i kwiatów, bo i w jesieni zbieram bujne pęki niezapominajek i bratków, a kwiatki te odnajduję w waszych serdecznych i poczytych odezwach, gdzie obok wiadomości o waszych postępach i zajęciach tyle mam ciekawych i miłych wspomnień i przyjaźni.

Zdziwiona jestem, że od Jagódki i Malinki z pod Nowo-Faldomeka tak dawno nie miałam żadnej wieści. Myślałam, że stanę do konkursu na wypracowania lub na roboty, ale nie! nic mi nie przysłały. Ciekawa jestem, czy są tak zapracowane, czy też po prostu nie chce im się pisywać do mnie i w wolnych od nauki chwilach zająć się czemś pożytecznym? Mam nadzieję, że niebawem prędko o tem napiszą.

Wasza Jaskółka.

Teatr Marjonetek dla dzieci.

W każdą niedzielę pod kierunkiem p. M. Weryho odbywają się dwa nader ciekawe przedstawienia teatru marjonetek i obrazów nikiących w sali Doliny Szwajcarskiej. Pierwsze zaczyna się o godz. 3-iej, drugie o 4 po południu.

OGŁOSZENIE DLA DOROSŁYCH.

SPORT.

Tygodnik Ilustrowany, z dodatkami w miarę potrzeby, poświęcony wszystkim odłamom sportu i życia towarzyskiego, przynosi w słowie i rysunku najszybsze i najdokładniejsze wiadomości. „Sport” jest pismem zupełnie niezależnym.

Na zasadzie umowy, zawartej z Towarzystwem Ubezpieczeń „Rosya,” „Sport” zapewnia wszystkim rocznym prenumeratom swoim, którzy opłacą całoroczną prenumeratę w administracji tegoż pisma (Mazowiecka Nr. 4) Ubezpieczenie od wypadków, zdarzy się mogących w czasie jazdy konnej, na rowerach, bicyklach, w czasie polowania, fechtunku, wiosłowania, żaglowania, pływania i t. p. z wyłączeniem jednakże wszelkiego rodzaju wyścigów i konkursów, na rub. 1000 na wypadek śmierci. rub. 1000 na wypadek zupełnej niezdolności do pracy. „Sport,” ze względu na swe rozpowszechnienie, nadaje się bardzo do ogłoszeń.

„Sport,” kosztuje rocznie w Warszawie z odnośnieniem do domu rub. 4 kop. 60, z przesyłką pocztową rub. 6. Próbne numery wysyła bezpłatnie na żądanie.

Administracja tygodnika „Sport”

Mazowiecka Nr. 4 w Warszawie